Nr 201.

Dodatek do „Gazety Narodowej”

z dnia 22 Lipca 1900.

Prześladowanie religii we Francyi.

Oburza się cały świat cywilizowany a z nim i francuski, że barbarzyńskie tłumy bokserów i motłochu chińskiego palą kościoły, mordują misyonarzów, księży, zakonnice. Hordy te w nienawiści do cudzoziemców, nienawidzą i ich religii, a nienawidzą zapewne dlatego także, że szanując swoją wiarę, wydaje im się prawdopodobnie, że tym sposobem stają w jej obronie.

W tym samym czasie jednak urzędowy świat cywilizowanej Francyi i to kierownicy oświaty publicznej, występują z aktem, w którym potępioną jest nie jedna jakaś religia, ale wszystkie wogóle, w którym pod najsurowszą karą zabrania się w szkole odmawiania przez uczniów jakiejbądź modlitwy, jakiegobądź wyznania. Widzi się w tem niebezpieczeństwo dla państwa i dla Rzeczypospolitej Francuskiej.

Bokserzy wojują przeciw bogom obcym, Francuzi wypowiadają wojnę Panu Bogu wogóle. Możnaby ze smutkiem zapytać: Jaka cywilizacya moralnie więcej warta — czy barbarzyńców, mających jakiś swój ideał, czy tych, co ostentacyjnie się szczycą, że żadnego nie mają?

Oto najświeższy dowód, żadnych komentarzy nie potrzebujący. W numerze z 10 lipca drukuje *L'Univers* cyrkularz inspektora akademii okręgu departamentu Dordogne, rozesłany do podwładnego mu ciała nauczycielskiego w całym okręgu, na ręce miejscowych inspektorów szkolnych, takiej osnowy:

„Panie inspektorze! Doszło do mojej wiadomości, że w wielu szkołach publicznych (żeńskich i męskich) departamentu Dordogne utrzymuje się zwyczaj odmawiania modlitwy przed lekcyami i po lekcyach.

Nauczyciele nasi i nauczycielki powinni tymczasem znać zasadnicze przepisy ustawy szkolnej i wiedzieć, że szkoła Rzeczypospolitej jest ściśle świecka, że zatem **żadna modlitwa**, czy to katolicka, czy protestancka, czy żydowska, czy **jakabądź inna**, nie powinna być w niej odmawiana; że odbywanie jakichbądź obrządków religijnych w lokalu szkolnym i w godzinach szkolnych jest stanowczo zabronione, stosownie do kategorycznych przepisów praw świeckich.

„Wskutek tego proszę pana inspektora, ażeby bezzwłocznie przypomniał powyższe rozporządzenia podwładnym panu członkom ciała nauczającego w pańskim okręgu i ażeby uprzedził pp. nauczycieli i nauczycielki, że wystąpię z całą srogością przeciwko naruszającym prawo neutralności. Zadługo już trwały podobne nadużycia. Rachując na pańską pilność i stanowczość, spodziewam się, że natychmiast będą usunięte ze szkół praktyki błędne, niezgodne z duchem i literą prawa. Proszę o zawiadamienie mnie o otrzymaniu niniejszego cyrkularza i dopilnowanie, żeby zawarte w nim wskazówki były natychmiast najściślej wypełnione. *H Remond* inspektor Akademii“.

Kupiec chiński.

Kupiec jest właściwym pionierem cywilizacyi, jakkolwiek często w formie najpierwotniejszej, a zawsze w celu samolubnym; handel dopiero nadaje każdemu narodowi sposobność okazania, czy podobnie, jak wzrosły śród nowoczesnych zasad i praw etycznych europejczyk uznaje konieczność dotrzymywania słowa, wypełniania umów i płacenia za otrzymane usługi, czy towary. Jeśli naród wypełnia te warunki zasadnicze, wówczas handel i przemysł powiększa się, niepisane zwyczaje zamieniają się na prawa, a tak zwana cywilizacya, którą rzekomo przynosimy innym narodom, polega wówczas tylko na wprowadzeniu metod nowoczesnych.

Handlarz i kupiec chiński stoi wszakże pod względem uczciwości kupieckiej na zupełnie równym stopniu z europejczykiem. Tutaj Chińczyk niewiele może od nas się nauczyć; posiadał on moralność handlową, umocnioną prastaremi tradycyami już wówczas, kiedy większość krajów europejskich nie mogła się jeszcze pochwalić najmniejszą kulturą Chińczyk dotrzymuje święcie danego słowa, czyni zadość wszelkiemu zobowiązaniu. Zawierając umowę, lub dokonywując sprzedaży, nie zaniecha żadnego wybiegu, by jaknajwiększe dla siebie wyciągnąć zyski, ale, gdy raz umowę zawrze, strona przeciwna może być pewna, że jej nie uchybi.

Bojkot istnieje w Chinach od wieków, zarówno w swej dobroczynnej, jak i szkodliwej postaci. Kupcy hurtowni portu morskiego odmówili np. sprzedaży towaru nawet za gotówkę, do miasta, gdy tamtejsi handlarze nie przeprowadzili tego, żeby każdy z nich uczynił zadość swoim obowiązaniom i płacił za otrzymane towary. Handlarze jednej miejscowości musieli zatem jako klasa ręczyć za kredyt każdego z pośród siebie. Skutkiem tego bojkotu, który był zastosowany może tylko raz jeden w ciągu dziesiątka lat, kupcy hurtowni wykształcili w klientach swoich uczciwość.

Odwrotną stroną tej karności klasowej, którą uważać należy za dobroczynną kompensatę nieistniejących środków rządowych, były syndykaty monopolistyczne, wyzyskiwanie handlarzy drobnych i konsumentów. Skutkiem tego wytworzył się w Chinach już bardzo wcześnie ustrój gildyjny. Stare kroniki wykazują też, że w V i IV wieku cechy były już dawnemi bardzo urządzeniami.

Klasy zamożne są zazwyczaj konserwatywne, a ponieważ do nich należy kupiectwo w Chinach, wynika stąd, iż organizacya handlu w państwie niebieskiem, która niegdyś stała o wiele wyżej od eurowejskiej, nie rozwinęła się i pozostała dotąd na tym samym stopniu. Rząd w niczem nie może dopomódz wierzycielowi do odzyskania pieniędzy; zdawałoby się zatem, że otwiera to drogę do nadużyć i nieuczciwości. Wszelako dowiedzionem jest, iż zwyczaje gildyjne, a w sferach drobnych handlarzy obawa kompromitacyi wobec gildy, krewnych i współziomków, czynią zupełnie niepotrzebnemi środki, gdzieindziej przez władze stosowane. Solidność kupca chińskiego jest z jednej strony wynikiem względności, jaką mu okazywały panujące dynastye a z drugiej — karności rodzinnej, która jest u niego instynktowną, wrodzoną.

Wierność to pieniądz

przez Roberta Bracco.

Młody hrabia Lolo Lorenzetti, wchodząc do kancelaryi prywatnej pana Rodway, zapytywał siebie z pewnem zaambarasowaniem: „Czego może chcieć ode mnie ten stary nudziarz?“

Pan Rodway pośród cieniów bogatych i ciężkich obić, które w tym pokoju przygłuszały każdy dźwięk i szmer, siedział przy biurku, obszernem jak pomnik, przepysznie rzeźbionem, w poważnem przywitaniu zapraszając młodego hrabiego ruchem ręki, by zajął miejsce naprzeciw niego

— Kiedy otrzymałem bilecik pana — mówił młody hrabia jeszcze trochę nie swój — z największym pośpiechem...

— Pośpiech zupełnie zbyteczny — odpowiedział spokojnie pan Rodway z wymuszonym akcentem włoskim, w którym pomimo wprawy, nabytej trzydziestoletnim uporem, czuć było w sposobie mówienia telegraficznym wysiłek angielskiego gardła. — Pośpiech zbyteczny. Prosiłem hrabiego o pofatygowanie się do mnie, by hrabiemu ofiarować urzędowanie.

— Mnie! wykrzyknął hrabia Lolo Lorenzetti ze zdziwieniem więcej jeszcze odczutem niż wyrażonem.

— Nie przyjmuje hrabia?

— Lecz, doprawdy.. niezupnie rozumiem — wybełkotał młody hrabia, prostując swą osobę, jakby dla wykazania całej elegancyi i wytworności takowej, wpatrując się z niepokojem w oczy nieruchome, wybladłe pana Rodway, który, opierając się o wysoką poręcz fotelu w stylu średniowiecznym, głaskał obiema rękami, o wydłużonych pańskich palcach, dwa promienie swej rzadkiej, prawie śnieżnej brody.

— Nie rozumie hrabia? — dodał, nie poruszając się, pan Rodway.

— Bardzo naturalnie.

— Będę nadal mówił jasno. Jesteś hrabia przygotowany?

— Na co?

— Bym z całą szczerością doń mówił.

— Bezwątpienia.

— Więc proszę mnie posłuchać. Hrabia zaleca się do mej żony.

— Ja!

— Hrabia.

— Ależ to potwarz!

— O, bardzo przepraszam. Jestem prawdziwym gentlemanem. Nigdy nikogo nie spotwarzyłem.

— Ależ ja panu przysięgam, że...

Hrabia zaleca się do mej żony, lecz żona moja nie jest hrabiemu wzajemną.

— Ca va sans dire! pospieszył zapewnić młody hrabia z zaledwie dostrzegalnym wyrazem niezadowolenia.

— Hrabia jednak ubiera się nadzwyczaj elegancko, wytwornie.

— Cóż to ma do tego?

— Włoszkom podobają się bardzo młodzi ludzie ubierający się wytwornie. W mężczyźnie Włoszka przedewszystkiem zwraca uwagę na wytworność ubrania. Moja żona jest Włoszką. Hrabia jest również bardzo miły... Hrabia ma ładne, białe zęby... zęby, któremiby mogła poszczycić się najpiękniejsza kobieta. Ja również mam ładne zęby, lecz moje są sztuczne. Moja żona wprawdzie utrzymuje, że są prawdziwe, lecz to nieprawda. Hrabia jesteś blondynem. Ja byłem rudy, a teraz jestem biały. Blondynem nie byłem nigdy, choć jestem Anglikiem Hrabia jest młody. Ja również byłem młody. Teraz już nim nie jestem, choć żona moja niby tego nie spostrzega. To nie jest prawdą. Hrabia ma za sobą dużo miłosnych przygód. Nie wiem, czy to prawda. Hrabia jednak wiele o nich opowiada.., na jedno więc wychodzi!...

— Ależ panie Rodway...

— Niech hrabia pozwoli - wyłożę wszystko.

— Wyobraź pan... Moja żona ma lat trzydzieści. Mówi, że ma dwadzieścia pięć. To nie jest prawdą. Lecz trzydzieści lat jest o wiele mniej, niż sześćdziesiąt jeden. Ja mam lat sześćdziesiąt jeden, panie hrabio. Wszystko wziąwszy na uwagę, hrabia masz za sobą dużo szans powodzenia. Moja żona utrzymuje, że zawsze mi wierną była. To jest prawda. Wszystkie jednak żony były wierne, zanim się stały niewiernemi...

— Panie Rodway, ja nie mogę dłużej pozwolić...

— Hrabia chce bronić mej żony? Oh, niech się hrabia nie trudzi... Ja sam potrafię ją obronić. Jej wrodzone skłonności są jak najlepsze. Nigdy jednak nie pozwalałem jej przebywać zbyt wiele w towarzystwie młodych ludzi tak eleganckich... jak hrabia... Jednem słowem, hrabia wkręcił się do mego domu...

— Zostałem panu przedstawiony.

— Wkręcił się hrabia do mego domu... i to jest powodem dziwnych komplikacyj Próba dla mej żony jest niebezpieczną. Jej zachowanie się zaczyna być wieloznaczne. Nie mogę wyrzucić hrabiego z domu... to byłoby nieprzyjemnie. Nie mogę też założyć łańcucha bezpieczeństwa mojej żonie, gdyż takowy nie został jeszcze wynaleziony. Nie chcę jednak, by moja żona mnie zdradzała. Ofiaruję więc hrabiemu urzędowanie

W duszy młodego hrabiego wzrastające zdziwienie nie przeszkodziło pewnemu zadowoleniu połechtanej miłości własnej, a chociaż mowa tego oryginała była bardzo często bliską obrazy, nie mógł powstrzymać wewnętrznej satysfakcyi, podziwiając siebie z niewysłowioną dumą na piedestale przyszłego zwycięzcy, i za takiego uznany właśnie przez zagrożonego małżonka. Propozycya urzędowania intrygowała go, mieszała, a pomimo to niezwykłość rozmowy i całej tej sprawy zradzała w jego umyśle podniecony błogą nadzieję zakończenia jej nietylko polubownego, lecz nawet badzo korzystnego. Przybrał więc skromną postawę osoby niemogącej uniknąć własnego tryumfu i z wielką powagą zaczął mówić:

— Wobec człowieka jak pan, człowieka tak inteligentnego i głębokiego znawcy ludzkiego serca, w wyjątkowem położeniu, w jakiem się znajduję, nie pozostaje mi, jak schylić głowę bez jakiejkolwiekbądź dyskusyi. Pan zna swą żonę o wiele lepiej niż ja.

— To jest prawda.

— Ja nigdy nie starałem poznać się jej głębiej.

— To znowu nie jest prawdą.

— Ja nie śmiem oponować, panie Rodway, wobec przezorności, którą rozum i doświadczenie pana chce zastosować. Jestem na jego rozkazy... tylko ja dobrze jeszcze nie pojmuję, co pan rozumiesz przez to urzędowanie?

— Jesteś hrabia kapitalistą?

— To jest... właściwie kapitalistą .. nie Lecz...

— Ma hrabia zajęcie?

— Najmniejszego.

— Ma hrabia jaką pensyę... dochody?...

— Nawet cienia takowych. Zkądże miałyby mi spaść?

— Ma hrabia bogatego wuja?

— Nie mam nawet biednego.

— Więc hrabia nic nie ma?

— Owszem mam . długi.

— To mało.

— Niestety!

— A jednak hrabia wytwornie się ubiera?

— Jaż miałem przyjemność słyszeć od pana.

— Hrabia się bardzo wytwornie ubiera.

— Ależ tak... nie przeczę...

— I prowadzi hrabia życie bardzo... wesołe.

— Dosyć.

— Bawiłbyś się hrabia jeszcze więcej i ubierał jeszcze lepiej, gdybyś miał pięćset lirów miesięcznie.

— To jasne.

— Ja chcę je hrabiemu dać.

— Lecz ja nie mógłbym ich przyjąć.

— Może hrabia zostać reprezentantem mego wielkiego domu handlowego.

— Gdzie?

— Nie tutaj.

— Lecz gdzie?

— Gdzie hrabia zechce.

— Gdybym miał wybierać, wybrałbym naprzykład Medyolan; lecz ja nie sądzę, abym umiał być dobrym reprezentantem.

— Hrabia będzie doskonałym reprezentan-

Prawo starszeństwa.

Powieść

Champola.

(Ciąg dalszy.)

A jednak nie mogąc dźwigać dłużej ciężaru cierpień, zwróciła się ku niemu i zwierzała się:

— Czy może ociec powiedzieć mi, dlaczego rozdzielono nas i jakie przekleństwo ciąży na nas?

Dzieci, ująwszy się za ręce, kołem otoczyły drzewo.

Przewodził im najstarszy z chłopczyków młodszego Stingsa.

Cofano się, ażeby zrobić im miejsce.

Queenie i ksiądz zmuszeni byli wejść do framugi okna:

Było tam ciemno jak w konfesyonale.

Może właśnie ta ciemność ułatwiła Queenie wyznanie.

Z niepokojem czekała teraz odpowiedzi.

— Przedewszystkiem, co rozumiesz moje dziecko, przez ten wyraz przekleństwo?

I ożywiając się, rozwijał swą myśl.

— Na tym świecie, często przeklętymi nazywają ludzi, dręczonych pewnemi przykrościami, żyjących w ciągłej pracy, w cierpieniu, w ubóstwie i rzeczywiście, są to dolegliwości wielkie, wymagające odwagi, cierpliwości, rezygnacyi. Być może, że Franciszek nie ma przed sobą przyszłości, jaki pragnęłabyś.

Zawahał się, jak gdyby szukał słów, poczem mówił:

— Franciszek nie jest bogatym i może stać się jeszcze uboższym, może utracić przyjaciół, swych protektorów.

— Zapewne, jeżeli zostanie katolikiem... Przewidziałam te skutki.

— Może nastąpić coś jeszcze gorszego, czego nie przewidziałaś i to właśnie wywołuje obawę w tych, co cię kochają.

— Tych, co mnie kochają? A któż mnie kocha? Gdyby mnie kochano, przedewszystkiem życzonoby mi dobrze. Więc mam się lękać tylko ubóstwa, prześladowań? Czy ojciec wierzy w to? Ależ w takim razie mogę się nazwać bardzo szczęśliwą. Cóż znaczą te drobne przykrości w porównaniu ze szczęściem, a może nawet z ocaleniem, jakie znajdę u boku Franciszka?

W zapale wskazała ręką zebranych wieśniaków i zawołała:

— Chociażby był tak zapomnianym jak ci biedacy, chociażby był najuboższym z nich wszystkich, to jeszcze wtedy będę gotowa zostać jego żoną, będę zadowolona i dumna

Zawstydzona nieco swą śmiałością, pochyliła głowę.

Nie dostrzegła przelotnego wzruszenia na twarzy Ojca Mazerollier i zauważyła jedynie lekkie drzenie ust, gdy mówił jej:

— Skoro tak jest moje dziecko. to będę przemawiał za tobą.

Umilkł, jak gdyby przestraszony tem, co powiedział, lecz Queenie korzystając z obietnicy, rzekła z tryumfem:

— Wiedziałam, że Ojciec może wiele uczynić dla nas...

— Nie... źle wyraziłem się... Nie zrozumiałaś mnie. Nie łudź się przedwcześnie nadzieją..

Nie miał czasu dodać jej odwagi, gdyż podeszli dwaj najmłodsi bracia Anny, mający służyć do mszy.

Nadeszła chwila rozpoczęcia Pasterki i Queenie zobaczyła Ojca Mazerollier dopiero po upływie pół godziny w kaplicy.

I tutaj, przybrany w szaty kapłańskie, w kłębach dymu i świetle świec, wydał się jej takim samym jak w Wilborough, przeobrażonym, wznioślejszym, istotą obdarzoną darem specyalnym i nadprzyrodzonym, pośrednikiem pomiędzy Bogiem a ludźmi.

Queenie wierzyła, że Bóg spełni jego obietnicę, więc równie jak w Wilborough modliła się gorąco, z ufnością, nie wątpiąc w Opatrzność choćby opatrzność ta miała uczynić cud.

Małe organy pod palcami Anny Stings rozbrzmiewały harmonijnemi tonami, poczem rozległ się w kaplicy chóralny śpiew dzieci.

Wreszcie muzyka ucichła, zebrani w głębokiem skupieniu ugięli kolana, białe głowy hrabiego i hrabiny Stings pochyliły się pokornie.

Jedność bogatych i ubogich, poczęta przed chwilą we wspólnej radości tradycyjnej, kończyła się wspólną modlitwą braterską.

Pasterka ukończyła się.

Celebrans odszedł od ołtarza.

Kłęby dymu rozprószyły się.

Po ukończeniu śpiewów zgaszono świece.

Wkrótce w kaplicy pozostał tylko jeden punkt jasny, oświetlony żłobek, w którym leżące na słomie Dzieciątko Jezus uśmiechało się. jak obraz przebaczenia i nadziei.

Queenie, jedna z ostatnich wychodząc wraz z Anną Stings, oglądała się, ażeby jeszcze raz spojrzeć na żłobek.

Noc była tak ciemną, że mieszkańcy pałacu, nie widząc siebie i nawołując się, przebyli kilkanaście kroków dzielących ich od kaplicy; hrabia Stings niósł na rękach jedno z dzieci uśpionych; wesoła rozmowa ożywiała ciszę nocną.

— Queenie!

Dziewczyna, usłyszawszy tuż za sobą wymówione swe imię, odwróciła się uszczęśliwiona

Dwa wielkie cienie podeszły ku niej.

— Nie poznaje go pani? — zapytał jeden z młodszych Stingsów — i ja zaledwie poznałem, gdy wychodząc spostrzegłem go w kaplicy. Nie spodziewałem się takiej niespodzianki.

— Pan Franciszek Chartran! — zawołała uradowana Anna Stings. — Jak pan dobrze zrobił, żeś przyjechał do nas.

Queenie była tak wzruszona, że powitała go tylko okrzykiem szczęścia.

Ten powrót i to spotkanie przechodziły jej pragnienia, to też widziała w tem nietylko chwilę szczęścia, lecz początek cudu.

— Nie spodziewałem się zastać panią tutaj. Gdybym był przeczuwał, nie odważyłbym się przyjechać. A jednak jestem bardzo szczęśliwy.

Jednak jakiś niepokój psuł im szczęście.

— Nic nie odkryłaś? — zapytał wreszcie Franciszek.

— Nic — odrzekła smutnie.

— A ty?

— Również nic. Wiadomo ci, że wystąpiłem z wojska. Odjechać z pułkiem do Indyj byłoby to samo, co wyrzec się walki i ciebie. Skoro tylko uzyskałem swobodę, natychmiast rozpocząłem moje śledztwo. Nie mając nikogo innego, przypuściłem szturm do wuja Mainwooda. Żył z naszymi rodzicami, był naszym opiekunem, więc lepiej niż kto inny powinien znać nasze sprawy. Ale cóż, z nim niepodobna rozmawiać o rzeczach poważnych. Przypuszczam, że umyślnie, ażeby umysł swój uczynić lżejszym, zapomniał o wszystkiem, co wydawało mu się smutnem, a historya naszej rodziny wcale nie jest wesołą.

Westchnął i po chwili zaczął rozumować:

Ostatecznie każda rodzina ma swoje cierpienie równie dotkliwe, choć może mniej tragiczne. Przeszłość nasza nie ma żadnego związku z przyszłością, a wypadkowa śmierć mego dziadka i następnie rodziców może być uważana za zbieg smutnych okoliczności.

Trudniej już wyjaśnić sobie to, co dzieje się w Chartran obecnie i co do tego nie znalazłem żadnej wskazówki.

We Francyi, gdziekolwiek mój wuj Walter lub twoja siostra przebywali, nigdzie nie dali najmniejszego powodu do podejrzewania ich o cokolwiek. Ich dawni przyjaciele zazdrościli im szczęścia i podziwiali tak dobraną parę.

Nieszczęście Waltera rozpoczęło się już po ślubie i można przypuszczać, że sprawczynią jego jest twoja siostra.

(C. d. n.)

tem, gdyż nie będzie potrzebował nic nigdy reprezentować.

— Ależ pana wielki dom handlowy?

— Może doskonale egzystować bez hrabiego współudziału.

— Więc ja miałbym...

— Urząd... bez urzędowania.

— To poniżenie.

— To nie jest prawdą.

— Więc ja byłbym dla pana przedmiotem zbytku?

— To jest prawda. Dla męża w mem wieku nie być zdradzonym przez żonę jest prawdziwym zbytkiem.

— Jednak panie Rodway — mówił dalej hrabia Lorenzetti z imaginacyą podniecioną, sercem pełnem nigdy niedoświadczonych wzruszeń — gdybym nawet zgodził się oddalić z Neapolu, pan pojmie, pozostawiam tu pozycyę.

— Jaką?

— Moje powodzenie w świecie jest panu znane. Codzień zapraszany jestem na obiad, wieczorem do teatru. Jeżeli ukażę się w restauracyi, zawsze znajdzie się jeden z przyjaciół, który o wszystkiem pomyśli, wszystko zaspokoi. Mój krawiec, ten, który mnie tak wytwornie ubiera, ma dla mnie szczególną sympatyę, jestem jego wystawą... utrzymuje on, że ja mu robię reklamę, że mam wyższy szyk... pewien cachet szczególny. Cóż mam panu więcej powiedzieć. Faktem jest, że ja nigdy nic nie płacę...

— To jest prawda.

— Ale robię wszystko i używam na równi z tymi, którzy są dość naiwni, by za wszystko płacić. Wreszcie panie Rodway...

— Aby zrezygnować ze świetnej pozocyi, którą hrabia tu zajmuje, żąda hrabia więcej, niż pięćset lirów miesięcznie.

— Voila tout! — przytwierdził wytwornie hrabia Lorenzetti, oddychając głębiej i poprawiając ręką w eleganckiej rękawiczce węzeł krawata.

Anglik myślał: hrabiątko się targuje i ma racyę.

— Wierność mej żony warta więcej bezwątpienia, niż pięćset litrów miesięcznie, i szepnął w swym rodowitym języku leit-motiv swego małżeńskiego pożycia: wierność — to pieniądz.

— Co pan mówi?

— O, nic. Więc niech będzie sześćset.

Młody hrabia rozważał chwilę i odpowiedział stanowczo:

— Nie mogę.

— Ostateczna propozycya... siedmset.

— Ostateczna? Więc aby się okazać dla pana uprzejmym, niech będzie siedmset.

— Płacę z góry dwa lata gaży.

Hrabia Lorenzetti drgnął, jak znienacka połechtany, a silne drżenie to nie pozwoliło mu ukryć nagłego wzruszenia.

Następnie zawahał się:

— Pan nie żartuje sobie ze mnie?

— Nie żartuję z nikogo.

Pan Rodway, zapełniwszy niektóre próżne miejsca papieru już zapisanego, który przed nim leżał, podał go młodzikowi mówiąc:

— Proszę. Przeczytaj hrabia i podpisz.

Hrabia Lolo czytał: „Ja niżej podpisany zaświadczam, iż otrzymałem 16.800 lirów jako gażę z góry wypłaconą za dwa lata i obowiązuję się pozostać przez lat dwa w Medyolanie, począwszy od lutego 1900, jako reprezentant firmy Rodway et Comp“.

Podczas kiedy hrabia czytał, pan Rodway wyjął z biurka pieniądze, same bilety bankowe, i położył je przed oblicze hrabiątka. Młodzieniec przybrał postawę szlachetnej obojętności, podpisał, nie pomijając tytułu hrabiego, ręką zwinną zebrał banknoty i skwapliwie schował do kieszeni.

— Kiedyż więc zrobi mi hrabia przyjemność opuszczenia Neapolu? — zapytał Anglik.

— Jutro — najdalej pojutrze.

— All right!

Właśnie hrabia wstał, aby się pożegnać, kiedy pani Rodway, w eleganckim kostjumie tailleur, który prawie męzkim krojem, tembardziej uwydatniał doskonałość form kobiecych, weszła, gwałcąc ciężko poważną atmosferę tego gabinetu błyskiem fosforycznym swych małych, czarnych źrenic, kapryśnym profilem swego noska zadartego i swych ustek zbyt czerwonych, których warga wierzchnia, cokolwiek za wązka, odkrywała dwa zęby przednie nazbyt białe. Powiew zapachu, który zdawało się zawierał wszystkie esencye kwiatowe razem wzięte, scharakteryzował zmysłowo wejście jej.

— Oh! pan tutaj, kochany hrabio? Co pan tu robi u mego męża?

— Nic takiego! — pospieszył odpowiedzieć młody hrabia, zbytecznie akcentując przeczenie w słowach tych zawarte. I podnosząc ramiona z wyszukaną elegancyą, uścisnął jej rękę, wznosząc ją prawie do wysokości ramienia.

— Więc cóż? — dodała ciekawie pani Rodway, zdejmując woalkę i kapelusik wspaniały, jak koguci grzebień. — Hrabia przyszedłeś złożyć wizytę memu mężowi?

— I tobie także — tłómaczył Anglik, badając swą żonę. — Jest to wizyta pożegnalna.

— Ah! hrabia wyjeżdża?

— Tak, wyjeżdża.

— Opuszcza nas hrabia? Na krótki czas zapewne?

— Na czas dłuższy — dodał pan Rodway, akcentując wyrazy i starając się uchwycić na twarzy żony mimowolne oznaki wzruszenia.

Lecz ona była zajęta ujarzmianiem kilku loczków niesfornych swych włosów, rozrzuconych zdjęciem kapelusza.

— I gdzież to hrabia zdąża, gdzie?

— Jadę do Medyolanu.

Oh! zazdroszczę hrabiemu. Cudowne miasto! Mam tam wielu znajomych. Będę hrabiemu służyła listami polecającemi. Życzy hrabia?

Anglik, który o wiele więcej przypuszczał, niż wyjawił młodzikowi, rozważał:

— Moja żona rozmawia obojętnie. To nieszczere. Hrabia zaś zachowuje się jak człowiek który wie, jak bardzo jest przez mą żonę ceniony. To jest prawda!

A ponieważ pilno mu było dowiedzieć się z większą dokładnością ogromu niebezpieczeństwa zagrażającego mu, a które zażegnał przymusową emigracyą jasnowłosego zdobywcy, pan Rodway zdecydował się pozostawić ich samych chwil kilka i zdala... czuwać.

Oprócz względów, które nim kierowały jako mężem, łączyła się w nim chęć zbadania możnego przemysłowca, o ile korzystną była operacya finansowa, dopiero co przeprowadzona.

Udając zatem, iż musi wydać pospieszne rozporządzenie swemu sekretarzowi, prosił o pozwolenie oddalenia się.

Po kilku chwilach niemej obserwacyi młody hrabia zbliżył się do pani Rodway, która zadowolona wreszcie z ułożenia swych loczków, wyjęła z kieszonki żakiecika miniaturowe szyldkretowe pudełeczko zawierające veloutine wraz z puszkiem maleńkim — półgłosem trochę drżącym, któremu starał się nadać ton pieszczotliwy, szeptał:

— Więc tak... i cóż pani na to mówi?

— Na co?

— Wyjeżdżam.

— Nic na to nie mówię — i puszkiem pogłaskała policzki i brodę.

— Żałuje pani?

— Naturalnie.

— Bardzo pani żałuje?

— Niby czego?

— Nie żałuje pani bardzo?

— To jest tak, iżbym z tego miała umrzeć — to nie.

— Tak, iżby pani umrzeć z tego miała? Pani umyślnie tak mówi, aby mi mogła zaprzeczyć, nie badając uczuć swych. Lecz ja cię Berto rozumiem! Oh! nie staraj się odrzeć mnie ze złudzeń, mnie zarozumiałego pyszałka. Kiedy pomyślę, że ja, w którego życiu kobiety przesuwały się jedna po drugiej, jak bukiecik w butonierce mego surduta i mego fraka... ja, który bałem się poznać cię głębiej, czując, iż tym razem byłbym naprawdę stracił głowę, znajduję zupełnie słusznem i naturalnem, iżbyś i ty Berto również naprawdę głowę dla mnie straciła.

— Mój kochany hrabio — mówiła pani Rodway wstając nagle, tonem komicznie czułym i troskliwym — hrabia jednak czuje się nieźle?

Młody człowiek, na razie zdetonowany i zmęczony, prędko powrócił do poprzedniego pompatycznego nastroju i ciągnął dalej:

— Daremnie!... Pani żartuje... oh jeżeli o to chodzi, i ja również zacznę żartować, możemy być doskonałymi komedyantami, odegrać scenę... lecz pani...

Już miał powiedzieć: „Pani mnie kocha“, lecz nagle uczuł instyktownie nadmierną próżność tego wykrzyknika, zmienił więc:

— Pani nie kocha swego męża!

Raptem jednak kapryśna twarzyczka pani Rodway skurczyła się drganiem dumy i chwilowego niesmaku. Milczała, czyniąc widoczny wysiłek, pełna niechęci, prawie wzgardy. Milczenie jej i pogardliwe zachowanie się, do reszty zmieszały jasnowłosego młodziana, który zbladł i spuścił pokornie głowę. Milczenie to przeciągnęło by się zbyt długo, gdyby nie pan Rodway, który wszystko widział i słyszał ukryty poza fałdami bogatej, ciężkiej portjery. Przerwał je, wchodząc pełen godności.

— Czyś napisała już dla naszego hrabiego listy polecające.

— Nie jeszcze... Zaraz napiszę.

— Oh, niech się pani nie trudzi — wybełkotał młody hrabia. Przyśle mnie je pani później do Medyolanu... kiedy zechce. Teraz nie mógłbym się dłużej zatrzymać.

— Szczęśliwej podróży! — powiedziała oschle pani Rodway i wyszła z pokoju.

Nastąpiło nowe milczenie podczas którego anglik otworzył na biurku jeden z rejestrów, wpatrując się weń zamyślony. Hrabia Lolo odzyskawszy całą swobodę, prawie wesoło zakonkludował:

— A więc jadę jutro.

Anglik dodał:

— Czy hrabia nie chciałby zrobić pewnej tranzakcyi.

— Jakto?

— Ja przedrę papier, który hrabia podpisałeś, hrabia pozostanie w Neapolu, ja zaś odbiorę połowę wyłożonej sumy.

Młody hrabia Lorenzetti odpowiedział z dumą:

— Dziwię się bardzo. Hrabia Ludwik Lorenzetti nigdy nie cofa danego słowa.

— Oh, co to, to nie prawda.

— A przemysłowiec jak pan, nigdy nie zmienia zawartego kontraktu!

— Co to, to prawda.

— Do widzenia.

Hrabia Ludwik odszedł pełen godności, a pan Rodway pozostał jeszcze chwilę wpatrzony w rejestr. Była tam rubryka, którą on nazwał: „Na utrzymanie wierności mej żony“, gdzie miał zwyczaj notować wszystkie wydatki teatru, klejnotów, tualet, różnych cacek, cukierków, kwiatów; tam właśnie zanotował sumę dopiero co wyłożoną. Lecz będąc świadkiem rozmowy między hrabią i Bertą, przekonawszy się o niezachwianej jej wierności i nieszkodliwości hrabiątka, nie mógł i nie chciał umieścić w tej rubryce wydatku uczynionego, aby otrzymać to, co również byłby otrzymał bez wydania ani jednego solda. Jego wiedza rachmistrza już, już miała zatonąć, gdy nagle myśl świetna błysnęła mu na pomoc. Napisał jak poprzednio zredagował: „Wręczone hrabiemu Ludwikowi Lorenzetti 16,800 lirów“, zmienił jedynie nagłówek rubryki. Przekreślił „na utrzymanie wierności mej żony“ i zamieścił: „za mą nieufność męża zbyt starego“.

Na wakacyach.

(Długa ulica grabowa jednym końcem opiera się o biały dworek z kamiennemi schodkami do ogrodu, z drugiej o sztachety, za któremi rozległy widok na łąki i sianożęcie. Niedziela. Dzień upalny lipcowy ma się ku schyłkowi; cienie w szpalerze wydłużają się, a mozajka plam złotawych wchodzi aż na pnie drzew, które tu i ówdzie zaczynają się jaskrawo palić. Ścieżka przecięta jest smugami ciemnemi i mocno złotemi. W alei spacerują trzy osoby: prześliczny podlotek szesnastoletni z jasnemi warkoczami, trochę potarganemi, które gdy wpadną w promień słońca, otaczają się gęstą, złotą aureolą; student o bladej twarzy, krótkowidz w binoklach i „ciocia“ osoba lat nieokreślonych, opiekunka podlotka a zarazem „przyzwoitka“. Podlotek jest świeżo upieczoną szóstoklasistką, a student koropetytorem Zdzisia i Adasia, dwóch bisurmanów na wakacyach. Panie chodzą środkiem alei, student zaś, wobec braku miejsca, po brzeżku, raz z przodu, raz z tyłu, co chwila potrącając się o pnie drzew i zawadzając o korzenie).

Ciocia (zatrzymując się u sztachet, deklamuje):

Powodzią płynie jakaś ciepła fala,
Gdzieś z łąk skoszonych, gdzieś od rzeki zdala,
Znać, że się jeszcze nie spotkała z rosą,
Że też tak pachnie, co padło pod kosą.

(z uczuciem)

Ach, to podobno wszystkich kwiatów dzieje,
Które Bóg w łąkach i po sercach sieje...

— Wie pan, to z Pola. Śliczne, ale czy nie prawda, że tu jakby dźwięczna lekka nuta pesymizmu?

Student. Pani, filozofia pesymistyczna to dziś jedyna uzasadniona filozofia.

Ciocia. Ach, prawda, wy wszyscy dzisiaj jesteście pesymiści, dekadenci, schyłkowscy. Ale gdzież uzasadnienie?

Student. Czyż potrzeba uzasadnienia?!... (z determinacyą). Życie jest takie podłe, takie poziome, tak pełne walk i ciągłego szarpania się... (gałąź zrzuca mu binokle, które zaplątują się w liście), szarpania się, borykania... (wyszarpuje z pasją binokle, które z zawikłanemi liśćmi nasadza na nosie), na każdym kroku piętrzą się (utyka o korzeń) przeszkody, ciągłe tylko zrywanie się do lotu i spadanie z potrzaskanemi skrzydłami (z goryczą): O, kto zgłębił do dna tę czarę życia, ten musi zostać pesymistą!

Podlotek (zasłuchany). I pan ją zgłębiłeś?

Student (ponuro). O, tak!...

Podlotek (wzdychając). Mnie się zdaje, że ja rozumiem pesymizm, bo i ja także...

Ciocia *Taisez vous, Angélique!* (z pobłażaniem): Dziecko jesteś! (do studenta z powłóczystem spojrzeniem): Ale my pana wyleczymy z tej goryczy i tego pesymizmu. To wasze miasta tak wam nerwy szarpią i taki rozdźwięk wprowadzają w duszy. My tego wszystkiego na wsi nie znamy. Tu koją nasze nerwy, słodycz oddechu pól i lasów, poezya natury, szepty i szmery pełne uroku i tajemnicy, ta cisza rozlana.. ach!

(Ostatnie „Ach!“ cioci odnosi się do gwałtownego rumoru i hałasu, jaki się czyni na trawniku obok dworu, gdzie gospodarz z księdzem proboszczem i dwoma sąsiadami grają *sub diva* — w winta. Od stolika słychać w coraz gwałtowniejszem tempie następującą rozmowę:

Gracz I. A co, nie mówiłem! Nie chować, licytować porządnie!

Gracz II. Ja nie chowałem, to radca pokazujesz czego nie masz! A ten as pikowy!

Gracz I. Nie mówiłem bez atu.

Gracz II. To nie trzeba było podnosić.

Gracz I. W pliszki grać!

Gracz II. Na orzechy grać.

Ks. proboszcz (paktując). No, no! zgoda panowie. Wpadliście bez czterech, stało się. A teraz opiszmy ten wypadek.

(Hałas ucisza się i słychać znów tasowanie kart, zbieranie itd.)

Głos z dworu.: Iziu, może mi przyjdziesz pomódz.

Ciocia. Idę duszko! (do podlotka). Czy ci Anielko nie zimno aby, bo to już rosa pada?

Podlotek. O nie, ciotuniu!

(Podlotek i student przez chwilę chodzą w milczeniu po szpalerze, który szarzeje coraz bardziej),

Student. Więc pani rozumiesz pesymizm?

Podlotek. O tak! I wie pan, ta duża u nas Klocia z szóstej klasy, pan ją może zna, co? taka ciemna brunetka? Otóż ta Klocia powiedziała, żeśmy wszystkie w szóstej klasie powinny być pesymistkami. Jaki mi ona wiersz napisała w albumie. Taki straszny! Pokażę go panu.

Student (z nagłą słodyczą w głosie). A jednak w tej ciemni życia jest jedna gwiazda, w tej bezdennej głuszy jeden dźwięk, jedno słowo, które życie może opromienić blaskiem optymizmu. To słowo...

Podlotek (podchwytując). Wiem. Sześć liter... Prawda?

Student (wzruszony). O, kto takie słowo usłyszy, tą harmonią się pieści..

(W tej chwili od łąki słychać przeraźliwy krzyk: „U huu! Ihii!“ poczem otwiera się furtka i wpadają zziajani Zdziś i Adaś. Jeden ma łuk, drugi „tomahawk“, obadwaj pióra zatknięte u czapek).

Zdziś (stojąc podparty w bok przed siostrą). Co, przestraszyłaś się? Aha! To wojenny okrzyk komaczów!

Adaś. Nieprawda! Apaczów! Chcesz, to ci pokażę...

Student (surowo). Proszę mi zaprzestać tych szaleństw! Przestraszyliście tylko panią..

Zdziś (z lekceważeniem). Phi, jaka ona tam „pani“. Koza i koniec! (poufnie). Wie pan, ona chociaż do szóstej przelazła, ale o algebrze pojęcia nie ma. Słowo daję!

Adaś. Anielko, a prędko będzie kolacya, bo mi się tak jeść chce...

Głos z dworu. Panowie proszę! Dzieci — na kolacyę!

ROZMAITOSCI.

Repertoar teatru hr. Skarbka

W niedzielę (na ogólne żądanie po raz drugi „Dalibor“, wielka opera historyczna w 5 aktach Smetany. Nieodwołalnie ostatni i pożegnalny występ Władysława Floryańskiego.

W poniedziałek nie będzie przedstawienia.

We wtorek (senzacyjna nowość). „Sposób na mężów“ („Wie man Männer fesselt“) słynna operetka z baletem w 4 aktach Marsa i Hennequina; przekład Adolfa Kitschmana; muzyka Wiktora Rogera. Akt I pt. „Mąż nad przepaścią“, akt II „W garderobie teatralnej“, akt III „En petit comite“, akt IV „Wszystko dobrze“. Operetka ta graną była w Wiedniu 250 razy z rzędu z olbrzymiem powodzeniem.

Kalendarz

W niedzielę 21 lipca Maryi Magdaleny — Pankratya.

Wschód słońca 21 lipca o godź 4 min. 28, zachód o godź. 7 min. 40.

Coloseum Thorna. Nowy program odznacza się jak wszystkie poprzednie, wielkiem urozmaiceniem i jest bardzo zajmujący i zabawny. Nader komiczni gimnastycy na reku Amerykanie Marcello i Millay, zagadkowi elektryczni ludzie Dante. muzykalni ślufirze bracia Giay zasługują na zupełną pochwałę. Znakomitą atrakcyę tworzą baronówny Odillon, które nader poprawnym śpiewem i pięknemi głosami burzę oklasków wywołują.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Platon Kostecki — Z drukarni i litografii Pillera i Spółki